

Niemoc czyli ekologizacja polskich miast, miasteczek i innej prowincji

Człowiek pozbawiony poczucia miejsca, ciągłości procesów przyrodniczych i kulturowych – staje się udomowionym, znerwicowanym zwierzątkiem laboratoryjnym. Reaguje tylko na zaprogramowane bodźce i – pozbawiony swojego domu lęka się własnej tożsamości. Tymczasem, to właśnie ten stan nijakości powinien nas najbardziej niepokoić. A nam jest wszystko jedno. Rozpada się środowisko przyrodnicze, dzielone nowymi kwartałami plastikowych i cementowych bud, dzielone marzeniami o autostradach, dzielone nowymi pomysłami na zarobienie pieniędzy poprzez wyprzedanie tego, czego nie potrafimy lub nie chcemy zrozumieć. Rozpada się, a może już się rozpadło, środowisko kulturowe. Stare domy, place, latarnie, gospody, tarkowiska – smuciły zapuszczeniem i szarością śmierci klinicznej za komuny, by odżyć dzisiaj świetnością śmietnika konsumpcyjnej cywilizacji. Najcenniejsze stare lub nowsze miejsca sprzedaje się Szwedowi, Niemcowi lub – co jeszcze gorsze – biznesmenowi vel dealerowi Trzeciej Rzeczypospolitej. A oni wybudują tam Europę: McDonalda, sklep o nazwie Picadilly obok obżywanej bramy jak na Piotrkowskiej w Łodzi, a może nawet importowany angielski pub (ale z tych dla turystów, mniej prawdziwych, bez zapisu historii miejsca, bo i skąd historia pubu w Bielsku czy Radomiu).

Miasto, miasteczko lub inna prowincja zafunduje sobie także program ekologiczny., może nawet zacznie coś w rodzaju segregacji odpadów po Coca-Coli, marsach, bounty, tetrapackach, PET-ach i innych kolorowych, styropianach i plastikach wyrzuconych/przerzuconych na wschód gdzieś z bardziej zachodniej części Europy.

Rozpada się nie tylko nasza przyroda, rozpada się wszystko, co nas określało, wiązało z procesami i historią miejsc, a my przechodzimy spokojnie obok. Może nawet nie przechodzimy, bo żeby iść trzeba trochę wysiłku, a Polak jest przepracowany i biedny. Lata komuny, polityczne i związkowe spory, stanie na straży słusznych wartości i lęk przed tym by nie być prowincją Europy wyczerpują naszą całą energię. Cóż to za wielki wysiłek być awangardą roszczeń, strażą moralności, rogatką przed komunizmem, liberalizmem, relatywizmem, ekologią odwołującą się do głębokich pytań i czym tam jeszcze. Ale musimy się także ekologizować. Tego wymaga Europa. Mamy więc pozostałe po dawnej tradycji ekologiczne doświadczenia i organizacje, które posadzą czasami drzewka, może nawet napiszemy, że nasze miasto, miasteczko lub inna prowincja są przyjazne środowisku? Czy mieliśmy jakąś własną kulturę? Czy można było kiedyś kupić u nas ciastka domowego wypieku? Lokalne sery? Czy były jakieś lokalne przedmioty, zdjęcia, rękodzieła, czy choćby wyroby seryjne? Czy była tutaj kiedykolwiek, jakakolwiek tradycja (oprócz strajków)? Po pierwsze nie pamiętamy, a po drugie wstydzimy się – bo a nuż staniemy się znowu prowincją? Pamiętam z jakim obrzydzeniem bielscy mieszczanie mówili mi kiedyś o nowej lokalnej gazecie, która ośmieliła się nazwać „Gazeta prowincjonalna”. – A co to, Warszawa lepsza? – pytali. Otóż jesteśmy prowincją. Z całą pewnością jesteśmy, a wkrótce będziemy nią już całą gębą; kiedy tylko potniemy kraj autostradami, Szwedzi, Niemcy, Włosi i lokalni dealerzy wybudują nam hotele, puby, shopy, pola golfowe i kasyna wokół których będziemy kupowali hamburgery, Coca-Colę, marsy, oglądali satelitarną tv i narzekali na brud, smród i chamstwo tej wreszcie prawdziwej, europejskiej prowincji.

Niegdyś termin „prowincja” oznaczał posiadłość, jednostkę obszaru, z którym dało się identyfikować; własny „dom” w znaczeniu przynależności do niego różnych lokalnych aspektów życia. Ale my jesteśmy za biedni i pokrzywdzeni przez historię, więc teraz musimy zapomnieć szybko kim, gdzie i dlaczego jesteśmy by spokojnie oddać się niemocy i niespełnionym roszczeniom ekologizując dla uspokojenia sumienia rosnący wokół nas – przecież znowu nie z naszej winy – europejski (nareszcie!) śmietnik.

Omen